

The book cover features a close-up of a woman's face, partially obscured by a dark, textured fabric. She has striking green eyes and is looking directly at the viewer. A silver knife with a red handle is positioned diagonally across her face, with blood smeared on the blade and her skin. The author's name, 'Martin Coll', is written in a white, cursive font at the top. At the bottom, a white, shield-like shape contains the publisher's logo 'MC' and the title 'ADRIA' in a stylized font, with the word 'LOJALNOŚĆ' in bold black letters below it.

Martin Coll

MC

ADRIA

LOJALNOŚĆ

**Lojalność,
czyli tam, gdzie farbowane blondynki mówią
dobranoc.**

Martin Coll

Białystok 2016

Wydanie specjalne Ebooka dla Klientów Księgarni selkar.pl



Wstęp

Martin Coll zaprasza do uniwersum Adrii, pozornie zwykłej dziewczyny, która ma niecodzienne zajęcie. Nie dla pieniędzy, nie dla siebie. Dla Organizacji. Nigdy nie zadaje zbędnych pytań, bo tak została wytresowana. Słowo „wychowana” byłoby nieadekwatne. Podobnie jak wielu przed nią i wielu po niej.

Wykonuje zadania, które mogłyby budzić skrajne emocje. Strach, obrzydzenie, a może niezdrową fascynację. Wszystkie te emocje są jej obce. Głównie zabija ludzi. Trening jaki przeszła od piątego roku życia pozwala jej nad tym nie myśleć. Pozbawianie życia, przesłuchania, utylizacja zwłok czy wcielanie się w innych ludzi jest jej codziennością. Czymś co nie wzbudza już żadnych emocji, a jedynie poczucie rosnącego zmęczenia. Mimo wszystko nadal jest nastolatką, a jej dojrzewające ciało i psychika potrzebują czegoś więcej, niż morderczego drylu.

Na to więcej nie może sobie jednak pozwolić. Nigdy nie jest sama. Organizacja, której jest elementem jest jak ekskluzywny zegarek kieszonkowy. Z tysiącem zamiennych części. I ona wie, że w razie potrzeby zostanie natychmiast „wymieniona”. Bez zbędnych słów i wyjaśnień. Sęk w tym, że nie zawsze wszystko jest tym, na co wygląda.

Sęk w tym, że ona może nie jest sobą.

Część I

Taki los...

Skręt dopalał się w szklanej popielniczce. Dziewczyna się uśmiechnęła. Mogła mieć najwyżej osiemnaście wiosen. Albo nie. Czyli była świeżutka. Naprzeciw niej siedział rozparty w fotelu mężczyzna dobrze po czterdziestce. Twarz znaczyły nitki starych blizn. Zbyt liczne, jak na spokojne życie. Mężczyzna sięgnął po skręta i mocno się zaciągnął. Żyłaste ramię pokrywały tatuaże przerywane niezliczonymi sznytami. Dłoń była uboższa o kawałek małego palca. Mężczyzna odwzajemnił uśmiech, ale oczy pozostały nieruchome. Albo nawet... smutne?

- Wracasz do domu - odezwała się dziewczyna - Nie cieszysz się?

- Po tylu latach... - mężczyzna zakasłał - ...jasne.

- A co z nimi? Z klanem? - spytał, chociaż nie spodziewał się odpowiedzi.

Dziewczyna nadal się uśmiechała. Mogłaby być jego ukochaną córeczką. Gdyby kiedykolwiek miał szansę na założenie rodziny.

- Nie wiem - padła szybka odpowiedź. Bez chwili wahania. Była dobrze wyszkolona. Jak on w jej wieku. I wielu przed nim.

- Wyjeżdżasz dziś w nocy - położyła na stole złożoną starannie kartę pergaminu - To twoje nowe wcielenie. Na czas podróży.

- Sie wie... - prychnął i znowu zaciągnął dymem z ziół, które tylko z grubsza można było nazwać tytoniem - wiesz spędziłem z nimi piętnaście lat. Z klanem. Kawał życia.

- Widzę. Nabrałeś też pewnych nawyków - skinęła na skręta.

Mężczyzna się uśmiechnął. W oczach błysnęła przekora.

- Czasem trudno zrezygnować ze wszystkiego. Z przeszłości.

Wstał i zgniótł niedopałek w papierośnicy.

- Wiesz... dziękuję...

- Za co?

- Że to nie muszę być ja - znowu się uśmiechnął.

- Jasne - odpowiedziała. Zbyt szybko.

Skręt ciała był błyskawiczny. Ostrze dobyte w mgnieniu oka przecięło gardło. Ciepła krew prysnęła dookoła. W oczach dziewczyny pojawiło się zaskoczenie i strach. Zwykły,

zwierzęcy strach. Narastający z każdą uncją własnej krwi wypełniającej stopniowo płuca, a w większości zachlapującej wszystko wokół.

Mężczyzna znowu usiadł. Wytrzeł nóż i ciężko westchnął:

- Wiesz... w sumie mogłaś nigdy tu nie dotrzeć. Tak jak ten przed tobą.

Dziewczyna traciła szybko resztki świadomości. Życie wyciekało z niej przez palce. Dosłownie.

- A moi bracia potrzebują ochrony. Wiesz to twardziele. Ale jednak... w końcu... mam rodzinę.

Kilka mil od podziemi jednego z licznych zamtułów Karakas, gdzie śmierć przychodziła szybciej, niż padały słowa. Troje ludzi w przebraniu wieśniaków szybko skracało dystans. Ktoś w zupełnie innym miejscu nabral poważnych wątpliwości, co do misji jednego z mistrzów. Zbyt długo działającego w terenie. Który mógł nabrać zbyt wiele... nawyków...

Rozpadało się. W ciągu ostatnich kilku dni zebrali dość informacji, aby właściwie przygotować się na to, co miało nadejść.

- Fajnie było poczuć się jak księżniczka. Choć raz... - popielatowłosa dziewczyna splunęła w bok. Siarczyście. Wręcz wulgarnie - ...wiesz nic nie robić. Leżeć. Pachnieć. Jeszcze nie dość, że żarcie ci przyniosą, to jeszcze ubiorą. Piękne życie...

Nie wyglądała na więcej niż osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Nadal miała blond złote włosy. Nie zdążyła jeszcze zmyć. A może nie chciała? Pociągnęła osełką po ostrzu. Po raz kolejny. Zgrzytnęło. Za nią stała rudowłosa dziewczyna. Obie były w podobnym wieku. Żuła wykałaczkę. W oddali zajaśniał świt. Śniady mężczyzna przystanął obok i odpalił drewnianą fajeczkę. Po powietrzu rozszedł się aromat tytoniu. W oddali zaskrzeczały kruki. Od miasta dzieliły ich cztery mile. Może pięć.

- Już się zlatują blade juchy – mężczyzna charknął i splunął na klepisko – trzeba będzie pociąć. Albo spalić. I zakopać.

Zaczął padać deszcz. Krople niemrawo rozbijały się o słomiane zadaszenie.

- Mówię wam, klawe życie ma taka księżniczka. Eh... było cudnie.

- Nie pitol. Już zaczyna cuchnąć – zwróciła uwagę rudowłosa.

Adria obejrzała się za siebie. Spod brudnej plandeki wystawały tylko bose stopy. Stajenny był młody. Ale sprzedawał im konie. Czasem małe rzeczy wpływają na całe życie. Albo nagły koniec.

- To jak było? – spytał śniady mężczyzna puszczając dymka. Był starszy od dziewczyn o kilka lat.

- Mówię... jak w chędożonej bajce. Stroje, bale, spanie do południa. Wprost nie do uwierzenia...

- Adria... - ton głosu mężczyzny nabrał charakterystycznej twardości - ...jak było?!

Blondwłosa dziewczyna przeczesła dłonią włosy i odpowiedziała mu niechętnym spojrzeniem, jakby jego słowa wyrwały ją z pięknego snu:

- Tak jak chciałeś. Zawał. W kąpieli.

- Był stary... - Khalat wyjął fajeczkę i zaczął wolno, wręcz metodycznie ubijać tytoń - ...zdarza się, nie?

- Jasne... - przed jej oczyma stanęła sina twarz królewskiego bratanka. Miał pięćdziesiątkę na karku. I strasznego pecha. Chronił człowieka, którego jedynym życzeniem było to, aby o nim zapomniano. Sęk w tym, że Organizacja dla której pracował miała doskonałą pamięć. I pieczołowicie dbała o wszelkie swoje „aktywa”. Zwłaszcza żywe.

- Mówisz, że suknia ładnie się prezentowała? – spytała z lekkim uśmiechem rudowłosa.

- Spadaj! Chędożcie się oboje! – Adria skrzywiła się w tłumionym uśmiechu.

- Wezmę to sobie do serca – powiedział Khalat i pyknął z fajeczki – a teraz do roboty. Do późnego ranka ma nas tu nie być.

- Jacha – sarknęła Rede wstając i otrzepując spodnie. Adria poszła w jej ślady.

Dziewczyny podeszły do plandeki. Rede ściągnęła jednym ruchem narzutę i przekłęta:

- Adria w żyć no... przez gardło?

Blondwłosa wzruszyła ramionami:

- Tak wyszło...

- Nie pitolicie tylko ogarnijcie to szybko i puszczamy wszystko z dymem – zarządził Khalat.

- Ładne miejsce... – Rede podrapała się w policzek – szkoda. Miał rodzinę?

Adria zaprzeczyła ruchem głowy i popatrzyła na twarz swojej przedostatniej ofiary:

- Gdzieś musieliśmy się zadekować.

Splunęła w bok.

- Taki los... - rudowłosa zaczęła spinać włosy.

Trup musiał zniknąć. Całkowicie.

Mężczyzna długo patrzył w oczy chłopca. Dzieciak mógł mieć pięć, może sześć lat. Mężczyzna położył mu swoją wielką dłoń na ramieniu. Zacisnął. Chłopiec skrzywił usta, ale

nie krzyknął. Tatuaze w kształcie węży wiły się między palcami wielkiej dłoni. Mężczyzna uśmiechnął się, a jego czarne oczy zdawały się wwierać czaszkę dziecka na wylot. Było cicho. Słysząc było syk dopalającej się w kącie świecy:

- Jesteś mężczyzną. Nieważne, ile masz lat. Czy jesteś wielkim facetem, czy dzieciakiem. Zawsze będziesz mężczyzną.

Chłopiec zamrugał. Burza czarnych włosów opadała na czoło.

- Twoja matka jest... - mężczyzna przestał się uśmiechać - ...zwyczajnie słaba. Wrzeszczy często. Tłucze. Czasem, aż masz od tego siniaki. Czasem budzisz się w nocy. Nie ma znaczenia. Robi tak, bo jest słaba. Jak dziecko. Mimo, że teraz jest od ciebie silniejsza i większa, jest słabsza. Rozumiesz?

Chłopiec zamarł. Nie odezwał się ani słowem. Cekał. Mężczyzna mocniej zacisnął palce na wątlym barku kilkuletniego chłopca. Ten ledwie powstrzymał jęk bólu.

- Jesteś drapieżnikiem. Lwem. I jesteś silny. I dlatego... musisz ją chronić. I być wyrozumiały. Tak, jak teraz ja dla ciebie. Bo jeśli nie... to nadejdą wielkie, straszne i bardzo złe lwy. Krwiożercze. Głodne. I po prostu... rozszarpia cię... kawałek po krwawym kawałeczku. Bardzo boleśnie. Potrafisz sobie to wyobrazić. Dźwięk trzaskających kości?

Kilkulatek zadrżał. Mężczyzna wyraźnie to czuł przez zaciśnięte palce. Znowu się uśmiechnął.

- Ale jeśli będziesz w porządku i będziesz chronił własną mamę. Mimo jej oczywistych słabości... to te same lwy widzisz... zrobią wszystko by ci pomóc. Nieważne kiedy. Nieważne jak. Zawsze przybędą ci na pomoc. Bo będziesz ich rodziną. A lwy zawsze trzymają się razem. Rozumiesz?

Chłopiec wolno, bardzo wolno, kiwnął głową. W oczach pojawiły się łzy. Bólu, nienawiści i... zrozumienia. Mężczyzna uwolnił ramię chłopca i wstał z kolan. Uśmiechnął się:

- Pewnego dnia...

Wtem drzwi skrzypnęły i pojawiła się w nich rozczochna, siwa czupryna Czachy.

- Ktoś nadchodzi! - syknął starzec. Był wąty, a jego ciało w całości pokrywały tatuaze.

- Ktoś?

- Jakiś chłopcaś i dwie panny Argo... pytali o ciebie.

- Jak wyglądali? - mężczyzna skrzywił wargi w trudnym do odczytania grymasie i włożył do ust skręta. Odpalił.

- Mieli martwe oczy... - odparł starzec - ...tak jak tamci.

Mężczyzna zaciągnął się i wypuścił z płuc kłęb cuchnącego, gęstego dymu. Jeszcze raz spojrzął na chłopca:

- Lwy muszą zabijać. I chronić. Pamiętaj. Dbaj o mamę. To dzięki niej możesz oddychać. I wyszedł. Na zewnątrz wiało. I zaczął sieć nieprzyjemny, mroźny deszcz. Jesień przechodziła w zimę. Zdecydowanie za szybko.

- Na moście? - spytał dobrze zbudowany mężczyzna, którego twarz skrywał kaptur. Na jego dłoni, którą opierał o drewniany parapet, wiły się dziwne tatuaże.

- Tak, jak chciałeś, Argo. Żeby nie mieli gdzie zbiec - odparł starzec.

- Chłopcy?

- Gotowi! - Czacha rozchylił spierzchnięte wargi ukazując wyraźnie widoczne braku w uzębieniu. Zaleciało też częściowo sfermentowanym czosnkiem. I ogórkiem.

Przycupnęli w oknie pokoju, znajdującego się na poddaszu. Nieopodal mostu. Cały dzień mżyło. Było wilgotno, wietrznie i wręcz mroźnie.

- Psia pogoda, co? - spytał starzec - Może rozpalimy w kominku?

- Nie... - odpowiedział krótko muskularny mężczyzna.

Nie palił nawet ziela, jak zwykł to robić. Pozostawali w półmroku. Niczym duchy czekające na swoje ofiary.

- Trzech? - upewnił się mężczyzna.

- Trzech - przytaknął starzec - Dyc by nie dostrzegli. Stąd?

Na moście nadal nie było nikogo widać.

- Ciii... - odparł tylko jego rozmówca kładąc palec na ustach. Nagle zamarł.

Na dachu, tuż nad ich głowami coś zatrzeszczało. I nie mógł to być kot. Starzec spojrzał ze zdziwieniem rozdziawiając spierzchnięte usta. Kocury były zbyt lekkie. Zbyt bezszelestne. Po chwili coś mocniej trzasnęło i... ciszę rozerwał potężny huk! Ściany i strop zadygotały w posadach. Na głowy dwójki mężczyzn posypały się kilogramy tynku. W tym samym momencie trzasnęło okno przez które obserwowali most, jak i drzwi. Równocześnie. Ktoś wpadł do wnętrza. Mężczyzna instynktownie cofnął się pod ścianę dobywając dwóch krótkich szabel. Idealnych do walki na krótkim dystansie. Wszędobylski kurz uniemożliwiał widzenie. Mężczyzna zaczął się krztusić. Wyraźnie czuł, że słabnie. Kurz musiał być nasycony czymś jeszcze...

- Dobra nasza, zaraz padnie - usłyszał melodyjny, kobiecy głos. Nieco przytłumiony.

I charknięcie starca. Głośnie, które momentalnie przeszło w bulgotanie.

- Mówiłem nie po gardle! - warknął inny, męski głos.

Mężczyzna w kapturze nadal nic nie widział. I czuł się coraz słabszy. Zaczął osuwać się na ziemię. I w tym momencie, gdy mroczki tańczyły, jak oszalałe przed oczyma... tył głowy rozerwał tępy, intensywny ból.

- I na co?! - ten sam męski, wściekły głos.

- Żeby było szybciej - odparł mu trzeci głos. Mimo, że kobiecy, to dużo twardszy od dwóch poprzednich.

Mężczyzna w kapturze przestał czuć cokolwiek. Nie wiedział, gdzie ma ręce i nogi. Przestawał odczuwać własne ciało. Zapadł w ciemność. Pustą i bolesną. Taką, w jaką żaden człowiek nigdy nie chce się zapaść. Gorszą od śmierci. Z perspektywą bólu, który nigdy się nie skończy.

Obudził go cichy dzwoneczek. Jakby świąteczny. O ledwie uchwytnym, srebrzącym się dźwięku. Otworzył oczy.

Ładna nastolatka o ciemnych włosach przyprószonych siwizną spoglądała z ciekawością na jego tatuaż. Jasnobrązowe oczy lustrowały z ciekawością jego pokryte zarostem oblicze. W lewej ręce trzymała dzwoneczek. Srebrny. Za nią stała z założonymi rękoma druga dziewczyna. Rudowłosa. O wyniosłym, pogardliwym spojrzeniu. I wargami skrzywionymi na znak niechęci. Chybotliwe światło biło od kilku świeczek ustawionych na dwóch drewnianych stołach. Poza tym było chłodno, wilgotno i duszno zarazem. I śmierdziało pleśnią. Albo grzybem. Musieli być w piwnicy.

- Obudziła się księżniczka! - parsknęła ruda.

- Czemu jeszcze żyję? - spytał bez zbędnych wstępów. Obliznął językiem spierzchnięte wargi. Tył głowy nadal pulsował nieprzyjemnym bólem.

Popielatowłosa wzruszyła ramionami:

- Masz fart?

Odpowiedział jej wmuszonym uśmiechem:

- W naszym świecie farty nie istnieją. Przyroda ich nie toleruje.

- Musisz nam odpowiedzieć na kilka pytań, a potem...

- Będę mógł sobie spokojnie umrzeć? - wtrącił z wyraźną drwiną.

- Potem zabierzemy cię z powrotem. Do domu. - brązowooka dziewczyna westchnęła przeciągle.

- Pięknie... - mężczyzna zakasłał, palenie zioła wyraźnie osłabiło płuca. No i wiek - ...tylko, że ja od dawna nie mam domu.

- A tutaj?

Mężczyzna popatrzył na nią z pobłażaniem:

- Tego "tutaj" już nie ma. Prawda?

- Prawda - przytaknęła ruda i ziewnęła. Wymownie:

- Czyściciele są w drodze... – dodała.

- Więc po cholerę mam wam odpowiadać?!

Ruda zbliżyła się i stanęła przy popielatowłosej. Skrzywiła usta w grymasie przypominającym uśmiech. .

- A bo wiesz... - sięgnęła na stojący obok stół. Coś podniosła. Była ta gruba igła. Zakończona maleńkimi haczykami. O dziwnie pokrzywionych ostrzach - ...mamy czas.

Mężczyzna natychmiast wyobraził sobie, gdzie można mu to cacko włożyć. I ile bólu może wywołać.

- Myślę, że nie i dobrze wiecie, że to nic nie da - skwitował kwaśno próbując nadrobić pewną pozą. Skoro czyściciele byli w drodze, nie pozostało mu wiele czasu.

- Mogę kontrolować ból, albo... przegryzę sobie język. Wykrwawię się w parę minut, a bez języka i tak na nic wam się nie przydam. Więc? - zaryzykował. Każda chwila była na wagę złota. Płomień najbliższej świecy zakołysał się nerwowo.

- Pozwól, że opowiem ci pewną historię - zza jego pleców dobiegł głęboki, męski głos. Miał miłe, wręcz ciepłe brzmienie. Gdyby nie okoliczności, taki głos mógłby działać kojąco:

- Historię pewnego chłopca Argo, bodajże jutro skończy sześć lat...

Mężczyzna miał przed sobą twarze obu nastolatków. Ruda uśmiechnęła się szerzej. Popielatowłosa nawet nie drgnęła. Wzrok pozostał pusty. Nieruchomy. Jakby na ich dnie zostało coś z jej dzieciństwa, co nie pozwalało jej się bać. Jakby jej dzieciństwo było inne. Mimo, że wszyscy mieli podobne. I Argo zrozumiał, że to jej powinien obawiać się najbardziej.

- Kochałaś?

Deszcz bębnił o szyby. Kiepskiej jakości, ale zawsze. Odwróciła się od okna i obdarzyła go zmęczonym spojrzeniem. Zostali sami. Khalat i Rede byli w mieście. Organizowali transport dla ich specjalnej „przesyłki”. Popielatowłosa oparła się o drewniany parapet i wydeła usta, jakby chciała splunąć:

- Chodzi ci o coś? – bąknęła.

- Zwyczajnie – Argo odchylił głowę i ciężko westchnął – Czy kiedykolwiek kogoś kochałaś? To proste pytanie.

Poprawiła włosy i obdarzyła go długim, wyzbytym z uczuć spojrzeniem:

- Co ci...

- Chciałbym wiedzieć... – wszedł jej w słowo uważnie wpatrując się w jej jasnobrązowe oczy – a jak oboje dobrze wiemy już z nikim sobie dłużej nie pogadam. A na pewno nie tak. I nie o tym. Więc korzystam z ostatniej okazji do normalnej rozmowy. I pytam. To źle?

Adria milczała. Zaskoczył ją. Pytanie wybiło ją z rytmu. Zakłóciło błogie gapienie się na ulicę w oczekiwaniu na coś, co nie pasowałoby do monotonii cichej uliczki na obrzeżach portowej dzielnicy.

- Nie wiem... – starszy mężczyzna kontynuował – Może wolisz chłopaków, dziewczyny? Mi to obojętne. Nie w tym rzecz. Istotne, czy kochałaś? Tak naprawdę?

Cmoknęła nie przerywając wpatrywania się w ulicę, która całkiem opustoszała. Nawet koty pochowały się pod dachami. Brukowaną kostką płynął wartki strumień wypukający bród i piach z bocznych, zaniedbanych uliczek.

- Co to ma za znaczenie? – rzuciła jakby od niechcenia.

- Dla mnie ma – głos Argo był spokojny. Kojący. Mimo szalejącej wokół ulewy.

- Niby dlaczego? – zwróciła się w jego stronę. Gwałtowniej, niż zamierzała.

- Bo widzisz... - mężczyzna odwzajemnił jej spojrzenie - ...ja kiedyś kochałem. To zmienia ludzi. Kochanie. Inna perspektywa. Na wszystko.

Przez jego twarz przemknął cień. Jakby wspomnienie.

- Mam to w rzuci, dziadku... – prychnęła w końcu – ...z całym chędożonym szacunkiem. I zawrzyj się łaskawie, bo cię zaknebluję. A to mało przyjemne, prawda? – uśmiechnęła się złowrogo.

- Znam mniej przyjemne rzeczy. Wierz mi. – przymknął powieki.

- Nie muszę – odparła natychmiast – Wiem.

- Kochałaś... – skwitował krótko Argo.

Uśmiechnęła się. Złowrogo.

- Naprawdę chcesz ten knebel?

- Gdy usta milczą, krzyczą oczy – odparł filozoficznie mężczyzna.

Jej uśmiech zmienił barwę. Stał się jakby milszy.

- Czyje to?

Gwizdnął. Krótko. Na wesołą nutę.

- Nie wiem. Kiedyś zastyszałem. W innym czasie i miejscu. To co się właściwie stało?

- Z czym? – zmarszczyła czoło.

- Z twoją miłością?

Wywróciła oczyma i ciężko westchnęła:

- Naprawdę nie masz większych zmartwień? W takiej chwili?

- A myślisz, że mam? – odparł z przekąsem – Moja sytuacja raczej się już nie zmieni.

Przez chwilę milczała. Podrapała się w policzek.

- A co się miało stać... – odparła - Należymy do tego samego. Domyśl się.

Przez chwilę lustrował ją uważnym, smutnym spojrzeniem:

- Ty to zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

- W pewnym sensie... - odwróciła wzrok do okna. Ulice tonęły w nawale nie słabnącej ulewy.

- Sukin... - zmełł przekleństwo - ...zmusili cię do tego?

- Nie – zaprzeczyła ruchem głowy - Po prostu tak wyszło.

Wzruszyła ramionami i zagryzła dolną wargę.

- Przypadek? Oboje wiemy, że takie przypadki się nie zdarzają.

- Naprawdę chcesz ten knebel – znowu westchnęła odrywając się od parapetu.

Jego oczy się śmiały. Mimo pustki, potrafiły się śmiać. I to ją powstrzymało. Zatrzymała się w pół kroku.

- Czemu właściwie o to pytasz? – zbliżyła twarz do jego twarzy – Tak naprawdę?

- Bo kiedyś... byłem taki jak ty. Dokładnie. Bez emocji. Rozkaz na rozkaz. Wszystko, jak trzeba. I straciłem przez ten cały syf zbyt wiele lat. Nie wiem... może taki przebłysk przed tym co nieuchronne? Dla mnie już za późno, ale ty możesz się jeszcze nad tym zastanowić. Po co to wszystko? Ten cały bajzel? I co cię czeka na końcu? Teraz pewnie masz to w głębokim poważaniu, tak jak ja kiedyś. Gdy byłem młodszy. Ale widzisz, sęk w tym, że czas ucieka. Gdy to zrozumiesz, odkryjesz nagle, że każdy dzień był na wagę złota.

Puścił jej oko.

- Co ty chędożysz? – odsunęła się. Niepewnie.

- Dobrze wiesz... – uśmiechnął się - ...dopóki żyjesz jesteś w grze. Potem wszystko straci znaczenie.

Adria znieruchomiała. Ktoś był przy drzwiach. Błyskawicznym ruchem dobyła dwóch, długich noży. Pięciokrotne pukanie. W rytmie, jak było to ustalone. Odetchnęła. Zerknęła na Argo. Ten tylko ziewnął. Adria podeszła i zdjęła zasuwę z drzwi. To była Rede. Kompletnie przemoczona:

- Ale daje! – prychnęła i zadygotała – Gorzej niż w psiarni!

Rzuciła okiem na jeńca i kichnęła. Wytarła nos i rzuciła z okrutnym uśmiechem:

- Pakujemy prezent, transport już czeka.

Adria przez chwilę mierzyła ją wzrokiem. Porem zerknęła na Argo i mimowolnie zagryzła dolną wargę:

- Pakujemy, jasne.

Argo się nie odezwał. Tylko jego oczy. Wciąż się śmiały.

Kilka godzin później...

Zakołysało.

- To nie było śmieszne!

Rudowłosa spuściła głowę i mruknęła:

- Było... dla mnie...

Tuż za nimi wbiło się tępo kilka noży. Maszt był solidny. Nie mieli wątpliwości, że wytrzyma. Deski tworzące pokład były śliskie od śniegu i kryształków lodu. I do tego zacinający, mroźny wiatr. Statek powoli wypływał z zatoki. Płótna żagli nabierały powoli powietrza. Tuż za nimi płynęło kilka łodzi wyposażonych w gotowe do strzału kusze. Na jednej z nich stała dwójka ludzi w wełnianych płaszczach. To oni rzucali nożami. Nawet celnie. Popielatowłosa rzuciła wściekłe spojrzenie Rudej:

- Musiałas tam leżeć?

Zapytana podczołgała się do prawej burty:

- Chciałam załatwić formalności przecie - wzruszyła ramionami i ułożyła usta w dziubek.

Delikatnie wyjrzała ponad krawędź oblodzonej burty.

Zasypał ją grad lodowych kryształków. Tuż obok wbiła się płonąca strzała. Niemal ją oparzyła! Po chwili kolejna.

- Teraz masz, za chwilę zaczną celować w...

Trzecia strzała trafiła w płótna jednego z żagli. Podczołgał się do nich Khalat i podał im kusze:

- Dość tego babskiego ględzenia. W strzelców! Już!

Twarz Rede rozszerzyła się w zachwycie. Okrutnym:

- Nie musisz dwa razy powtarzać... szefie - błyskawicznie się wychyliła i strzeliła niemal natychmiast chowając ponownie za burtę.

Adria poszła w jej ślady. Na łodzi najbliższej okrętu dwójka zbrojnych zachwiała się niepewnie i ciężko runęła do lodowatej wody. Teraz palące się strzały zaczęły padać z kolejnych łodzi, które szybko skracaly dystans. Khalat zdjął kolejnego zbrojnego. W tym czasie dwie nastolatki szybko ładowały swoje kusze.

- A co z załogą? - niemal warknęła Adria do Khalata.

Wzruszył ramionami:

- Jak zawsze, większość na lądzie - rzucił niemal na bezdechu. W mroźnym powietrzu pojawiły się kolejne obłoczki pary - Wszystko w naszych rękach.

Adria wychyliła się i zdjęła kolejnego kusznika.

- Jasna błąda niechędożona - zaklęła.

Rede posłała jej zdziwione spojrzenie:

- No, no... rozwija się waćpanna

- I ty też się chędoż, Rede... patrz tam!

Spojrzała wymownie na przeciwległą burtę. Zazgrzytały o nią dwa haki. Ktoś przygotowywał się do wejścia na okręt. W tym momencie na pokład wyszedł olbrzymi, biało-czarny stwór. Właściwie niedźwiedź. A raczej panda. I do tego w kapitańskim trójnogu i potężnym toporem w obu łapach.

- To on tu był cały czas? – Rede rozdziawiła usta.

- Pandy tak mają – odsapnęła Adria przykładając kolbę kuszy do policzka – Przywykniesz.

- Coś jak dżungla. Pełna drapieżnego życia. Proste zasady. Zjadasz, albo zostajesz zjedzony. Może ci się to podobać albo nie, ale tak jest. Ostatecznie o wszystkim decyduje siła.

Adria splunęła w rozbująłą, morską toń. Walka nie trwała długo. Olbrzymi niedźwiedź oczyścił przeciwległą burtę z haków, a oni skutecznie zmniejszyli liczebność trzech łodzi, które zdążyły najbliższej podpłynąć. Kilku nawet zdołało wejść na pokład. Nie na długo.

- Mało to wzniosłe. A tym bardziej demokratyczne... – zauważyła Adria.

Khalat posłał jej zdumione spojrzenie:

- Wiesz, jak jest. Ten kto rządzi dżungłą rzadko jest wybierany. I właśnie dlatego jest tym, który rządzi.

Dziewczyna pomyślała o jeńcu. Skrupulatnie skrępowanym na dnie ładowni. Jedyne co mu teraz groziło to nieustanne haftowanie. Charknęła:

- Cena za spokój, co?

Khalat wzruszył ramionami:

- W końcu ktoś weźmie tę władzę. Nie ma innej opcji. Więc chyba lepiej, że ten ktoś będzie się starał zachować fasadę demokracji. I szlachetności.

Adria potarła policzek. Było mroźno.

- Ładnie powiedziane... szlachetności...

Khalat zapatrzył się w morze:

- Dżungla to dżungla Adria, nigdy się nie zmieniła.

Przez chwile milczeli. Wiatr wył między napiętymi niemal na sztorc wantami:

- To my jesteśmy tym, który rządzi? - spytała nieoczekiwanie - Organizacja?

- Nie wiem - wzruszył ramionami - Ale z pewnością odgrywamy w tym całym zamieszaniu jakąś rolę. Może dzięki temu to wszystko jeszcze trzyma się w kupie.

- Bez przesady - poprawiła kaptur, spod którego wymykały się kosmki ciemnych włosów - Trzy królestwa nie są aż tak słabe - w jej głosie zabrzmiała wyraźnie słyszalna ironia.

Obdarzył ją pobłażliwym uśmiechem:

- Ale rządzą nimi słabi ludzie.

Odpalił fajeczkę.

- Zdolność do okrucieństwa... - krzyknął niemal przekrzykując wzmagający się wiatr - ...jaką wykazuje się wielu władców to bynajmniej nie oznaka siły. Tylko słabości.

- To czym jest siła? - popatrzyła mu prosto w oczy.

Wzrok ich obojga dawno stał się pusty. Pozbawiony uczuć. Trwali tak chwilę nieruchomo, a wokół nich wył wiatr unoszący resztki morskiej bryzy.

- Tym - odezwał się w końcu i odwrócił wzrok. Zaciągnął się i po chwili wypuścił z płuc obłoczek wiśniowego dymu.

Okręt wyraźnie nabierał prędkości. Wiatr napierał z całą furią na żagle, które teraz były niemal sztywne.

- Luzowaaaaaać!!! - ryk jednookiego bosmana przetoczył się po pokładzie.

Pięcioro marynarzy rzuciło się do szotów. Tylko oni zostali z kilkunastoosobowej załogi.

- Nie myślałam, że będzie ich tylko tylu - prychnęła Adria.

- Ich? - Khalat wskazał ruchem głowy na uczepionych lin marynarzy. Właśnie zlurowali jeden z trójkątnych żagli i zaczęli luzować kolejny. Przy tym wietrze nikt nawet nie myślał, żeby słać ich na reje. Życie załogi było teraz droższe, niż złoto. I Adria czuła w kościach, że jedna chwila i sami będą musieli chwycić za liny.

- Nie - odparła - Tych, co wtedy weszli na pokład. Myślałam, że będzie ich z dwa tuziny. A tu patrz. Ośmiu. Szybko poszło - znowu splunęła.

- Zawsze to lepiej , mniej ofiar - rzuciła Rede, która nieoczekiwanie zmaterializowała się za ich plecami. Przez wycie wiatru nawet nie usłyszeli, gdy podeszła.

- To znaczy? - spytała Adria.

Rudowłosa wzruszyła ramionami i wychyliła się ostrożnie za burtę:

- Ale dajeee! - krzyknęła i uśmiechnęła się szeroko do brązowookiej:

- No wiesz, mniej roboty!

Dni na morzu płynęły wolno. Jak zawsze. Kapitan stał na mostku razem z popielatowłosą nastolatką o pustym spojrzeniu. Poza nimi był tu tylko sternik. Pół-człowiek, pół-elf. Nietypowa mieszanka, jak na marynarza. Zwłaszcza na pandzim okręcie. Adria nawet nie próbowała się domyślać, jak kapitan zdołał go zwerbować. Zresztą zarówno w jej, jak i jego fachu nikt nie zadawał zbędnych pytań.

- Była piękna... - olbrzymia panda mlasnęła i przejechała językiem po ostrych kłach - Cukieryczek!

- Chyba "cukiereczek"? - popielatowłosa nastolatka o brzydkim uśmiechu posłała niedźwiedziowi wymowne spojrzenie.

- Czepiasz się - olbrzymia bestia przechyliła się przez reling i splunęła za burtę.

Dziewczyna też splunęła:

- Bo mi tu farmazolisz o innych dziewojach jakichś z rzyci wyjętych - rzuciła zaczepnie.

- Ty jesteś poza konkursem - biało-czarny olbrzym spojrzał na nią z wyrzutem - Jesteś leaveese...

- A ona?

- No jak... - panda zaczęła grzebać wykałaczką między kłami - ona to cukieryczek

Nagle na górny pokład wtarabanił się jednooki bosman:

- Kapitanie! Dwa kaptyszady na rufie!

- Kurajawa, że jak i co?

Adria cichutko westchnęła i wywróciła oczyma.

- Dwa kaptyszady kapitanie!

- Przecież na tym pływają tylko długouchy - wielka panda wyglądała na szczerze zdziwioną. I wręcz zaniepokojoną.

- Co oni tu mogą robić? - Adria też była zaskoczona.

- I właśnie to jest dziwne - parsknął bosman i podrapał się w tył głowy - ale prują prosto na nas.

- To co teraz?

Bosman wzruszył ramionami:

- Mają większą powierzchnię żagli więc... zostały tam dwie, może trzy godziny...

- To co teraz? - na pokład wszedł Khalat w towarzystwie Rede. Panda zmeła przekleństwo i rzuciła na bezdech:

- Idziemy do ładowni...

- Ładowni?

- Mam tam coś, co może pomoże...

- W ładowni? - Khalat wyraził zdziwienie.

- Takie tam coś, napęd jakiś... - wielka panda wzruszyła ramionami.

- Nie osłabiaj mnie - westchnęła Adria - z Reothru co?

Panda znowu wzruszyła ramionami.

- O czym wy gadacie?

- Przecież to pandy! - parsknęła nastolatka o brzydkim uśmiechu i popielatych włosach – Po cholere szmuglować jednego jeńca, jak jeszcze można jakąś technologię albo inną magię, co?

Oczy Khalata rozszerzyły się nieoczekiwanie:

- Czy to...

- Ten statek nie dość, że przewozi naszego jeńca, to cholera wie co jeszcze... - Adria splunęła za burtę.

Panda odchrząknęła:

- Jest jak jest. Wicie koszty eksploatacji w tym biznesie ciągle rosną. Pomożecie? Czas nam się kończy...

- Ciekawe... czemu oni się tak na nas uwzięli, co?! - Adria wyglądała na zirytowaną.

Niedźwiedź pociągnął nosem i poprawił swój kapitański kapelusz.

- Okręt na prawej burcieeeee!!! - rozdarł się Kulawy Jimmy z bocianiego gniazda. Jedyny niziołek na okręcie. Kapitan sięgnął za pas i wyjął lunetę. Skierował we wskazanym kierunku.

- Pięknie... jeszcze tylko tego brakowało...

Trójka zabójców posłała wielkiej pandzie wyjątkowo mordercze spojrzenie.

- Wygląda na reothranski - odpowiedział kapitan - taki trochę opancerzony...

- Co to właściwie jest? W tej ładowni?! - nastolatka niemal syknęła.

- W sumie nie wiem - rzuciła Panda przez ramię schodząc na dolny pokład - ale miało służyć do latania, pływania... czy czegoś...

- A Reothr w ogóle jest świadomy, że jeden z jego prototypów jest gdzieś na archipelagu ze ścigaczami Republiki Kregentu na dupie?

Odpowiedziało jej tylko wzruszenie ramionami. Zeszli do ładowni.

- Pandy... - prychnęła popielatowłosa.

Mocuj to!!! - popielatowłosa zapała się mocniej ściskając grubą, szorstką linę. Obwiązała sprawnie wokół metalowej knagi.

Dziwny, kulisty kształt z metalicznym zgrzytem oparł się drewnianą rufę.

- Teraz co?! - krzyknęła Rede, który zaciskała pętle z drugiej strony.

Olbrzymi niedźwiedź podrapał się w tył głowy i wskazał wielką łapą na delikatne wybrzuszenie.

- Ten typek naciskał tutaj!

Wiatr wznagał się z każdą chwilą, sprawiając że musieli się wzajemnie przekrzykiwać mimo, że stali obok siebie.

- Jaki typek? - krzyknęła Adria.

Kolejny podmuch zerwał jej kaptur, a jasnoszare włosy zatańczyły szaleńczo na nieokiełznanym wietrze.

- No ten, co to miał! - ryknęła Panda i docisnęła łapą w wybrzuszenie.

Urządzenie cichutko zaburczało. I stanęło.

- No i tyle z... - westchnęła Rede, ale nie skończyła.

Powietrze przeszedł straszliwy pisk. Wszyscy obecni na pokładzie rzucili się na deski ściskając uszy. I mieli wrażenie, że ustał wiatr. W ogóle wszystko ustało. Zrobiło się niemal ciepło, przyjaźnie i dziwnie pusto. A potem żołądek podszedł im nagle do gardła, a powietrze rozdarł huk przenikany pasmami wielobarwnego, roztańczonego dziko światła. I wtedy w twarz uderzyła ich ściana diabelnie zimnej, słonej wody. Do tego pełnej ziemi.

Powoli otworzyła oczy wypływając z ust resztki piasku. Światła wokół niej zdawały się powoli przygasać. I wracała ostrość widzenia. Ktoś przed nią się uśmiechał. Nawet przyjaźnie:

- Cześć dziewczyno... - powiedział mężczyzna.

- Argo?

I zapadła w ciemność. Lepką. Brudną. I przenikliwie wilgotną.

Napięła mięśnie i rozluźniła. I jeszcze raz, ze skrzętem ciała. Sarknęła. Nic to nie dało. Więzy były fachowe. Żadnej fuszerki. Nawet wyłamanie kości ze stawów nic by nie dało. Spojrzała

spode łba na mężczyznę, który siedział przy ognisku. Blask płomieni tańczył po jego ostrych rysach twarzy.

- Czemu jeszcze żyję? - spytała bez ogródek.

Argo nawet się nie obejrzał. W dłoni trzymał patyk, na który nabił kawałek mięsa. Ze sterczącymi na boki odnóżami. Zapewne wiewiórka, lub inny gryzoń.

- Czemu nie? - odpowiedział jej pytaniem - Zdaje się posiedzimy tu trochę. A ja...

Odwrocił się w jej stronę:

- ...dawno nie miałem kobiety.

Posłała mu wymowne spojrzenie:

- Te kilka dni?

Uśmiechnął się. Zanim go porwali musieli go uważnie obserwować.

- Musimy pogadać – westchnął - Związałem cię tylko na wszelki wypadek. Spałaś noc i dzień. A ja też potrzebowałem snu. Wiesz wolałem się nie obudzić z przykrą niespodzianką między żebrami. Jak pogadamy to cię rozwiąże i zrobisz co zechcesz. Ale chyba i tak nie masz wyjścia...

Siedzieli w niewielkiej, ale wysoko sklepionej grocie. Przez niewielkie szczeliny sączyło się jasne, słoneczne światło. I słyszać było znane jej huczenie. Jakby...

- Właściwie gdzie my jesteśmy? Co się stało?

- Jak już zauważyłaś nie na statku... - odparł mężczyzna poświęcając swoją uwagę opiekaniu posiłku - ...nie mam pojęcia. Ale tam w dole... - wskazał ruchem głowy - ...rozciąga się dżungla.

Adria zrobiła wielkie oczy:

- Jak to dżungla?! Najbliższe tropiki to jakieś kilkanaście tysięcy mil od Kronos!

Mężczyzna cichutko gwizdnął:

- A do tego ta dżungla jest pełna życia. I to nie byle jakiego. Chyba gotowe... - Argo uniósł kij z pieczenią.

- Zaraz... ty mnie tu przytargałeś? - spytała.

- Jak widzisz... - gwizdnął przez zęby - ...jeśli pamiętam zgodnie z instrukcją w takich okolicznościach możesz wykorzystać cel czyli mnie do tego, żeby się z tego całego bałaganu wykaraskać - powiedział ściągając nożem skwierczące mięso na przygotowany uprzednio liść. Ogromny. I z pewnością nie rosnący na kronoskich drzewach.

- Wiesz, że to tymczasowe... - powiedziała.

- Chyba muszę zaryzykować, oboje zawsze mamy większe szanse.

Roześmiała się.

- No tak, inaczej dawno bym nie żyła, co?

Wzruszył ramionami:

- Kto wie... - podszedł i przykucnął tuż przed nią - ...przyszłość to jedna wielka niewiadoma, niczym mgła.

Przeciął więzy.

- A reszta? - spytała rozcierając odtarte nadgarstki.

- Na plaży, gdzie się ocknąłem byłaś tylko ty i dwoje martwych marynarzy - odpowiedział podając jej kawałek mięsa.

Jedli chwilę w milczeniu, ani na moment nie spuszczać z siebie wzroku.

- Martwych? - spytała tylko.

Nie odpowiedział. Gdzieś w dole rozległo się piskliwe rzenie. Dziwny dźwięk, który sprawiał, że po plecach przebiegały dreszcze. Czekąco tam na nich coś nieznanego. Z czym wcześniej, czy później będą musieli się zmierzyć.

- Może reszta przeżyła... – rzuciła między jednym kęsem, a drugim.

Odpowiedział jej zimnym uśmiechem:

- Może... w końcu tacy jak my zazwyczaj mają farta.

- Ale nie marynarze...

Argo przełknął swój kawałek mięsa. Wzrok miał pusty. Jak oni wszyscy. Tyle, że czasem... coś w nim drgało.

- Taki los...